

Barbara Kosmowska

Buba



ilustrował
Marcin Bruchnalski



Barbara Kosmowska
Buba

**I nagroda w Konkursie „Uwierz w siłę wyobraźni”
Nominacja do Nagrody „Książka Roku” 2003
Polskiej Sekcji IBBY**

© by Barbara Kosmowska
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka: Olga Reszelska
Opracowanie graficzne: Marcin Bruchnalski
Korekta: Karolina Drucka

Wydanie VI
w Wydawnictwie Literatura

ISBN 978-83-7672-437-9

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2016
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630 23 81
faks (42) 632 30 24
www.wyd-literatura.com.pl



*Półtora
roberka*

Buba nie była ani ładna, ani brzydka. Ani też specjalnie wysoka, choć nazwać ją niską to nieporozumienie. Mogła się wydawać nazbyt gruba, ale tak naprawdę gruba nie była. Niektóre sprzedawczynie mówiły nawet do niej „kruszynko”, gdy mierzyła kolejną parę dżinsów. Bo Buba chodziła tylko w dżinsach. Jakby na świecie we wszystkich sklepach z ciuchami sprzedawano wyłącznie wycieruchy.

Na te dżinsy najbardziej gniewała się matka Buby.

– Kiedy wyrośniesz z tych wstrętnych portek? – pytała, ilekroć zdarzało jej się dopaść córkę w ich przestronnym, choć przepelnionym mieszkaniu na drugim piętrze betonowego bloku przy ulicy Zwierzynieckiej. Buba nie podejmowała dyskusji, bo nie zamierzała nigdy z niczego wyrastać. Zwłaszcza że jej wyrastania nikt z domowników pewnie by nie dostrzegł. Nie raz zastanawiała się, czy ktokolwiek z rodziny wie, jak naprawdę ma na imię. Na wszelki wypadek nie zadawała nikomu z bliskich tego kłopotliwego pytania. Zresztą co za różnica, jak brzmiało jej prawdziwe imię, skoro go w ogóle nie używano? Podobnie rzecz się miała z Buby nazwiskiem. Też kłopotliwym. Wiecznie ją pytano o matkę albo ojca. „Czy ty, dziecińko, nie jesteś przypadkiem córką tej znanej pisarki?” Albo: „To twój tatuś prowadzi *Horyzonty nadziei*? Ten program o chorych na serce”. A Buba wiedziała, że nie jest córką żadnym „przypadkiem”, tyle że nie mówiła o tym głośno.

– Ja? – udawała w takich sytuacjach szczerze zdziwioną.

I ludzie przyjmowali to lapidarne wyjaśnienie, nie dręcząc kogoś tak przeciętnego jak Buba dalszymi pytaniami. Buba zbyt dobrze pamiętała koszmar rodzinnych czasów w towarzystwie wszędzie rozpoznawalnych rodziców, aby nauczyć się koniecznej anonimowości. Przy ojcu i matce była tylko obiektem surowej krytyki licznych wielbicieli ich talentu, gorzko rozczarowanych, że Buba wygląda, jak wygląda, że nie jest odpowiednio inteligentna, błyskotliwa i ładna. Ładna, to za mało powiedziane! Buba czuła, że oczekuje się od niej tego wszystkiego, czego rodzice mieli w nadmiarze. A może nawet trochę więcej? Szybko zrozumiała, że musi walczyć o swoje prawo pozostania Bubą. Czy to się komuś podoba czy nie. Dlatego ilekroć odcinała się od swego głośnego nazwiska i idących za nim próśb o autografy, czuła się jak znakomita aktorka po kolejnym udanym spektaklu.

Teraz też tak się czuła. Nikogo jednak nie okłamała, nie odegrała żadnej ze swych wielkich ról, po prostu wracała ze szkoły i kopała kamień czubkiem martensa. Równocześnie wyobrażała sobie, że gdy przekroczy próg rodzinnego domu, otoczy ją natychmiast aura ogólnego zainteresowania. Padną ważne pytania: Czy jesteś głodna? Jak napisałaś sprawdzian z fizyki? Co sądzisz o nowym wystroju balkonu pani Pęcikowej? Albo inne, dotyczące na przykład spraw domowych, w których jej głos okaże się decydujący. Ważne, żeby je kierowano do Buby i oczekiwano jej odpowiedzi.

Nacisnęła dzwonek domofonu. Znowu zapomniała kluczy.

– Znowu zapomniałaś kluczy? – usłyszała płynący ze ściany niezadowolony głos Bartoszowej. Drzwi otworzyły się z głuchym pomrukiem i Buba uświadomiła sobie, że poza pytaniem Bartoszowej nikt inny dzisiaj o nic jej nie zapyta. A ona nie będzie musiała silić się na odpowiedź.

* * *

– Dobrze, że już jesteś, kochanie. Przynieś mi, proszę, te srebrne spinki z komody. Mam spotkanie z czytelnikami, a spójrz, jak wyglądam! – w głosie matki zabrzmiała skarga, której Buba nigdy nie mogła zrozumieć.

Matka wyglądała wspaniale. Miała piękne orzechowe włosy, tak grube i błyszczące, że spinki, nawet brylantowe, byłyby przy nich tanimi świecidełkami.

– Bubo! – matka spojrzała na nią z przerażeniem – ty masz dzisiaj urodziny?

– Miałam wczoraj.

– O mój Boże! Dziecko! Dlaczego nam nie przypomniłaś?

– Bo was nie było.

– Istotnie. Wczoraj nas nie było. Ale był dziadek...

– Dziadek nie pamięta nawet o swoich urodzinach.

– Obawiam się, że masz rację.

– A ja się obawiam, że nie! Pamiętam nie tylko o swoich urodzinach, ale i o twoich, Mario – dziadek stał w drzwiach. Miał przekrzywione okulary i bałagan na siwej głowie. – Jeśli tak zwana latorośl może być stara, to ty jesteś tego metrykalnym przykładem – kontynuował. – Twój wnuk Franciszek sam ci to powie, jak skończy okres ząbkowania.

Buba zamknęła oczy. Każda wzmianka o wnuku doprowadzała matkę do hysterii. Tym razem stało się inaczej, zapewne ze względu na staranny, właśnie ukończony makijaż.

– Nie jesteś w stanie mnie zdenerwować – zapewniła matka, zachowując kamienną twarz. – Nie będę dyskutowała ze starcem, który w życiu dorobił się tylko alzheimera.

– I wyrodnej córki – uzupełnił dziadek, mocno już urażony.

Chciał coś dodać, ale jego polemiczny zapał ostudził dzwonek do drzwi.

– Kogo tu znowu niesie? Bubo, kochanie, otwórz. Jestem już spóźniona – na wszelki wypadek matka chwyciła torebkę. – Bartoszowa da wam obiad. Powiedz ojcu, że wrócę przed dwudziestą. O czym to ja zapomniałam? – nerwowo kręciła się przy lustrze.

– O naszym dzisiejszym brydżu, Marysiu!

W drzwiach stało małżeństwo Mańczaków. Mańczakowa wyglądała, jakby Mańczak zdjął ją z pierwszej strony „Filipinki” dla dorosłych. Długie getry w paski zakrywały okazałe uda. Szyję otulał wyleniały boa, a na głowie tkwił zalotny kapelusik, mocno nakrapiany błyszczącymi cekinami.

– Zaprosiliście nas na brydża – spokojnie przypomniał Mańczak, ściągając z Mańczakowej futerko z białych królików.

– No to koniec – zrozpaczona matka usiadła na łamiącym się foteliku, nazywanym nie bez powodu ludwikiem. – Jak mam odwołać wizytę w bibliotece?

– Tam na pewno nikogo nie ma – zawyrokowała Mańczakowa. – Ostatnio na twoje spotkanie też przyszły tylko trzy osoby.

– Ale to było spotkanie w więzieniu – usprawiedliwiająco wyjaśniła matka. – W dodatku męskim więzieniu, a ja piszę powieści dla kobiet.

– To kto właściwie przyszedł na twoje spotkanie? – zainteresował się dziadek.

– No... – matka nabrała powietrza. – Jakiś transwestyta, bibliotekarka i szefowa kuchni. Było jeszcze kilku więźniów... – tłumaczyła się niezręcznie.

– Pewnie za karę – domyślnie wtrącił dziadek i dyplomatycznie wycofał się do swojego pokoju.

– To co z tym brydżem? – nie ustępował Mańczak.

Stał z notesem, w którym zapisywał wszystkie porażki rodziców Buby. Od dziesięciu lat.

– No, nie wiem... Bubo... – matka nieśmiało zerknęła na córkę. – Może zagralibyście z dziadkiem.

– Z jakim dziadkiem? Bo jeśli z panem Henrykiem, to ja mówię pas – rzuciła Mańczakowa.

– A niby dlaczego pas? – głowa dziadka znowu ukazała się w drzwiach pokoju. – Ostatnio tak was z Bubą złoiliśmy, że teraz „pas”? – zaśmiał się dziadek złośliwie.

W przedpokoju pojawiła się Bartoszowa. Na widok wazy z dymiącą zupą wszyscy zamilkli.

– Obiad – oświadczyła grobowym głosem, pozostawiając za sobą smugę aromatu tegorocznych grzybów.

– To my zostajemy – zdecydowała Mańczakowa. – Zagramy z Bubą i z panem Henrykiem. Ostatecznie co za różnica, z kim wygramy, prawda, kochanie? Jeszcze tylko dwa roberki, Bubo. Dwa roberki i idziemy do domu – obiecywała Mańczakowa, nerwowo zgarniając i układając karty.

– Nie ziewaj! – upomniał Buba dziadek.

Był wyraźnie zły po ostatniej wpadce i Buba wiedziała, że przez następny tydzień będzie ją oskarżał o błąd. Nawet przed Bartoszwą.

– Jutro odpowiadam z angielskiego – powiedziała Buba, żeby coś powiedzieć.

– Jeśli tak odpowiesz, jak grasz, zostaniesz bez siedmiu. Czyli na drugi rok w tej samej klasie – dziadek znowu agresywnie szarpał końcówkę wąsa, co we wspólnym języku rodziny oznaczało absolutny brak punktów.

– Nie ukrywam, że muszę jeszcze pouczyć się tego anglika – nawet głuchy usłyszałby w głosie Buby nieme wołanie o pomoc.

– Brydża też – warknął dziadek.

Na ustach Mańczakowej rozkwitł triumfalny uśmiech.

– Gramy, proszę państwa! Gramy! – ponagliła dziecinie, przygotowując ostateczny, tym razem kładący przeciwników cios, który zamieniony w cyfry miał szansę stać się jednym z najwybitniejszych zapisów w notesie Mańczaka.

I tak zapewne by było, gdyby nie zadzwonił telefon.

– Nie odbieraj, Bubo! – krzyknęła Mańczakowa, tuląc karty do piersi, jakby w obawie, że telefon zabierze jej wszystkie brydżowe trofea.

– To potrwa pół minuty – obiecała Buba i pobiegła za głosem szalejącego sygnału.

Wróciła uszczęśliwiona.

– Narzeczony? – zainteresował się grzecznie Mańczak.

– Nie. Pani Karpowa spod trójki.

– Oferuje się jako obiadowa przystawka? – zażartowała Mańczakowa, znana z sympatii dla karpia w galarecie. Siedziała z rozmarzoną miną i długim paznokciem pieściła króla trefl.

– Nie. Prosi, abyście ją odstawili.

– Dokąd odstawili? – Mańczak podniósł przepelnione szczęściem oczy. Mieli naprawdę rewelacyjną kartę.

– Do rybnego – uciał dziadek dyskusję, jeszcze mocniej wczepiając się w wąsy.

– Bo ją zastawiliście. Swoim trabantem – dokończyła uroczyście Buba. – Chce, aby natychmiast ktoś tym trabantem wyjechał, bo się spieszy do apteki.

– Co za niewychowana kobieta! – oburzyła się Mańczakowa. – Tyle wytrzymała, to może jeszcze poczekać. Ludzie są tacy niecierpliwi, że to woła o pomstę do nieba.

– Chciała zawiadomić policję, bo mówi, że to już trzeci raz – Buba z naukowym spokojem obserwowała klęskę Mańczaków. Niewypowiedzianą boleść, z jaką odrywali się od krzeseł i rozstawali z atutami, ułożonymi w równiutki rządek.

– A tyle razy prosiłem, żebyś zrobiła prawo jazdy – przypomniawszy Mańczakowi. – Mógłbym tę partyjkę spokojnie rozegrać.

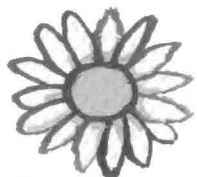
– Może mógłbyś, ale nie miałbyś czym wrócić do domu – Mańczakowa prawie płakała.

Wszyscy musieli zgodzić się z jej argumentem. Było bowiem wiadomo, że siedem razy zaczynała kurs. Uszkodziła siedem samochodów i dwóch instruktorów. Teraz była bliska łez, szukając kapelusika.

Ponowny sygnał telefonu dodał Mańczakom sił do odwrotu. Buba z ulgą zamknęła drzwi za kłócającą się parą. Tym razem dzwonił ojciec.

– Daj mi go – zażądał dziadek. – Czy ty wiesz, jak Buba fatalnie dzisiaj zagrała? To skandal tak zaniedbać dziecko! – krzyczał do słuchawki.

Dopiero za drzwiami swojego pokoju Buba poczuła się bezpiecznie. Zdjęła martensy, wciąż trzymające w uwięzi jej zmęczone stopy, i wskoczyła pod kolorowy pled. Pozwalając sobie po raz pierwszy tego dnia na cudowną chwilę błogiego lenistwa, zastanawiała się, jakie można mieć marzenia o godzinie dwudziestej drugiej trzydzieści, po koszmarnej wieczorze z Mańczakami i przed koszmarnym porankiem w szkole. Doszła do wniosku, że nie ma się żadnych marzeń. Ale ma się, co sprawdziła, grzebiąc pod poduszką, świetną książkę, na którą czeka połowa jej klasy. W imię dobrej rozumianej koleżeńskości powinnam ją do jutra przeczytać – zdecydowała i świat wydał jej się prawie doskonały. Prawie, bo piętnastoletni życiowy staż nauczył ją ostrożności w zachwycie dla świata, szykującego się do tysiąca nieprzewidzianych sytuacji, które tu, na Zwierzynieckiej, po prostu zawsze się zdarzały.



Fatalny ateista wkracza do akcji

– Jak wyglądam, Bubo? Czy ten sweterek jest wystarczająco obcisły?

Matka Buby od rana tkwiła w lustrze przymierzając różne wersje strojów. Buba pomyślała, że jeśli tak dalej pójdzie, matka osiągnie stan totalnej bieliznianej nagości, przesłoniętej tiulową halką, co będzie się nieco kłóciło z ideą spotkania zorganizowanego przez księdza Korka.

– A może nazbyt obcisły? – przyszła matce do głowy zbożna myśl. Ale na krótko. – Właściwie nie – uznała po trzech piruetach wykręconych przed lustrem. – Jest w sam raz. A poza tym ksiądz Korek lubi purpurę.

Buba przyglądała się matce spod przymkniętych powiek. Nie pierwszy raz matka za pośrednictwem Buby rozmawiała sama z sobą, ze swoim ciałem, rajstopami i purpurowym sweterkiem. Ale tak rzadko spotykały się w domu, że była matce wdzięczna za lustrzane odbicie, które od czasu do czasu zatrzymywało oczy na Bubie i szukało u niej potwierdzenia w sprawie tak ważnej, jak kolor przymierzanej właśnie apaszki.

– Bez apaszki lepiej, prawda, Bubo? – matka zerkała już na zegarek. I Buba wiedziała, że przedpokojowa audyencja nieuchronnie zbliża się do końca.

– Fiu, fiu fiu! – zagwizdał ojciec, który pojawił się nieoczekiwanie w drzwiach i jak zwykle walczył z własną teczką

o pierwszeństwo wejścia. – Niech zgadnę! Dziś prelekcja w agencji towarzyskiej „Złota Lola”. Odczyt dla dziewczynek pod tytułem „I ja zboczyłam na złą drogę”.

Ojciec w ostatniej chwili dostrzegł Bubę. Zmieszał się lekko, ale córka uspokoiła go spojrzeniem mówiącym, że funkcjonowanie agencji towarzyskich nie jest w stanie zburzyć świata jej wartości.

– Idę do księdza Korka – matka się naburmuszyła. – Twoje żarty są niestosowne.

– W takim razie twój strój też – zauważył ojciec z uśmiechem. – Chociaż... – rozważał, mocując się z butami – ksiądz Korek zapewne lubi takie przylegające fiolety...

– A ty skąd niby o tym wiesz? – matkę zawsze denerwowało, gdy ojciec, utwierdzony w swym ateizmie, próbował podłączyć się do jej nurtu filozoficznego, zwłaszcza w sprawach religii.

Z kuchni wyjrzała Bartoszowa.

– Ryba! – ryknęła swym donośnym basem.

Buba pomyślała, że nawet gdyby ta ryba, o której Bartoszowa wszystkim przypomniwała, jeszcze żyła, to tembr głosu Bartoszowej niechybnie by ją zabił.

– To dzisiaj jest piątek? – zdziwił się ojciec.

– Dla ciebie nie powinno to stanowić żadnej różnicy – przypomniwała mu chłodno matka. Uważała, że prawdziwy ateista powinien być tak konsekwentny w swej postawie, jak prawdziwy katolik.

– Czy ja dobrze słyszałem? – z pokoju dziadka wysunął się okazały kawałek wąsa. – Znowu ryba? W czasie wojny jadałem bardziej urozmaicone posiłki! O ile mnie pamięć nie myli, wczoraj też była ryba.

– Nie, dziadku – sprostowała rzeczowo Buba. – Wczoraj tylko dzwoniła pani Karpowa.

– Co to za różnica! – dziadek był wyraźnie zdenerwowany.
– Nie znoszę takiej kulinarnej monotonii. W czasie wojny...

– W czasie wojny ojciec był we Francji – brutalnie wtrąciła matka.

– W dodatku z tą wywłoką, dla której tatuś porzucił swą pierwszą żonę, a mamę Marysi – dodał mściwie ojciec.

– Moja pierwsza żona wcale nie była mamą Marysi – dziadek próbował zmienić temat na niekoniecznie szczęśliwszy.

– I mieszkaliście z tą wywłoką nad hotelem Astoria, w którym nie obowiązywały okupacyjne zwyczaje – matka była bezlitosna. Prawdopodobnie rozprawiłaby się z całym etosem dziadkowej przeszłości, gdyby nie zegarek.

– O Boże, muszę lecieć! – przypomniała sobie, walcząc z ciasnymi członkami.

Ucałowała Bubę, zanurzyła rękę w mężowskiej czuprynie i pozostawiła po sobie mgiełkę wabiących perfum.

– Czy moja córka zje ze mną obiad? – ojciec w przeciwieństwie do dziadka nie protestował przeciwko rybie. Zjadłby ich całe morze. Był najwyraźniej w doskonałym nastroju.

– A teścia nie zapraszasz? – dziadek intensywnie szukał powodów do kłótni. Chodził bezmyślnie po przedpokoju i głośno sapał.

– Ryba smakuje mi szczególnie w twoim towarzystwie – zapewnił ojciec, ruszając do stołu. – Szkoda tylko, że jej nie lubisz.

– Bartoszowej nie lubię – wyszeptał cicho dziadek, przekraczając magiczne terytorium jadalni. – Ta zimna kobieta któregoś razu doprowadzi mnie do klinicznej śmierci. Gdyby tak się stało – ciągnął, mocując pod brodą lnianą serwetkę – mój testament znajdziecie w sekretarzyku po lewej stronie.

– Testament? – ojciec spojrzał na Bubę z niedowierzaniem.
– A co też jest w tym testamencie? Przecież tata niczego nie ma?!

– Mam swoją godność – dumnie podkreślił dziadek i zrobił tajemniczą minę. – Dlatego chciałbym spocząć w Szwajcarii, obok mojej drugiej i jedynej kochanej żony. Twojej babki – wycelował palcem w Bubę – i twojej teściowej... – oświadczył, świdrując zięcia przenikliwymi oczkami.

– Nie sędzę, żeby to było możliwe – nie dawał za wygraną ojciec Buby. – Przecież mama nieboszczka zastrzegła w swoim testamencie, że tata nie ma prawa położyć się na wieczne odpoczywanie obok niej.

– Ona też miała swoją godność – przypomniała taktownie Buba.

– Jeśli pan Henryk nie zje obiadu, to powiem, gdzie się ostatnio spotkaliśmy – Bartoszowa stanęła nad dziadkowym talerzem i ze wstrętem przyglądała się rozmamłanej rybie, atakowanej przez dziadka palcami.

– Znowu ojciec był w totalotku?

– Z całą emeryturą! – dokończyła złowieszczo Bartoszowa, zanim dumnie opuściła jadalnię.

– Zabiję tę harpię. Jak mi Bóg miły, kiedyś ją dopadnę i zabiję... – dziadek zbladł i jak zawsze w chwilach dużego zdenerwowania rzęził.

– Bubo – głos ojca zabrzmiał błagalnie – mama nie może się o tym dowiedzieć. To trochę moja wina, bo w środę ja miałem dyżur...

– A w pozostałe dni mam ja – westchnęła Buba, nalewając dziadkowi wody mineralnej.

Rzęzenie powoli ustępowało.

– Skoro już wiecie, powiem wam, że byłem bliski sukcesu. Następnym razem...

– Następnego razu nie będzie – uciął stanowczo ojciec.
– Za karę spędzi tata dwie godziny w samotności.

– Całe życie spędzam w samotności, a on chce mnie ukarać dwiema godzinami – mruzczał dziadek, przygotowując się do odwrotu.

Buba nie dałaby głowy, ale była niemal pewna, że jeszcze zanim wszedł do swego pokoju, wywalił w stronę siwej głowy Bartoszowej swój okazały język.

– Co u ciebie, Bubo? Wszystko w porządku?

Buba zastanawiała się, czy nigdy nie przyszło ojcu do głowy, że każdą rozmowę zaczyna w ten sam sposób. Jakby właśnie wrócił z dalekiej podróży. Pytanie, czy wszystko w porządku, było ogólnikowe i wcale Buby nie zachęcało do zwierzeń. Co miała odpowiedzieć? Że nie wszystko? Że już trzy razy ojciec przekłada ich wyprawę nad Wisłę? Że Clinton znęca się po angielsku tylko nad Bubą i ona po angielsku wychodzi z angielskiego? Wreszcie że Adaś, ten sam, którego Buba zna od przedszkola i lubi, zaczął chodzić z Jolką. I nawet mu do głowy nie przyszło, żeby iść z Bubą na *Miss Saigon*, choć miała od ojca dwa bilety? Poza tą krótką listą żalów, wszystko było w jak najlepszym porządku. Po prostu: po staremu. Bez euforycznych zakrętów losu, bez zdumień i zapierających dech sytuacji.

Ojciec nie czekał już na Buby odpowiedź. Zawzięcie grzebał w swej teczce, aby po chwili odetchnąć z ulgą.

– Znalazłem – ucieszył się, potrząsając plikiem papierów. – Tobie powiem pierwszej. Będę prowadził nowy program. Scenariusz jest prosty, ale zadanie trudne.

– Teleturniej czy inne show? – Buba wiedziała, że skończyła się rozmowa o niej. Teraz nastąpił czas ojca, który wypełnią dokładne relacje, przenoszące jej tatę w klimaty telewizyjnego studia.

– *Uwierz mi.*

– Ale w co? – zdumiała się Buba.

– To tytuł, Bubo. *Uwierz mi* oznacza spotkania przed kamerami ludzi, którzy przestali sobie ufać. Moim zadaniem będzie mediacja, sprawienie, że przed kamerą połączą się ich dłonie, serca i sumienia... – promieniał ojciec.

– Obrzydliwe – stwierdziła krótko Buba, zatapiając zęby w kawałku placka.

– Obrzydliwe? – nie zrozumiał. – Dlaczego tak uważasz? Wszyscy są przekonani, że osiągniemy maksymalną oglądalność...

– Każde „szlochanie na ekranie” jest obrzydliwe. To gra na ludzkich uczuciach. Wstrętny, wścibski ekshibicjonizm za cenę maksymalnej oglądalności – Buba wiedziała, że sprawa ojcu przykrość. Patrzył na nią zdumiony.

– Ekshibicjonizm? Skąd ten pomysł, moje dziecko? Nawet nie wiesz, jak można ludziom pomóc w otwieraniu się na siebie i innych.

– Chciałbyś się otwierać na oczach całej Polski? – Buba spojrzała na ojca uważnie. – A choćby na oczach Karpowej, Misiorków, pana Migotka czy Krzywickich z naszej klatki?

– Nooo... – zamyślił się ojciec. – W pewnych sytuacjach... Czy ja wiem?... Ale na pewno są takie chwile...

– To dlaczego, gdy kłócicie się z mamą, zamykacie drzwi do waszego pokoju?

– A, to już jest inna sprawa.

– Gdy się godzicie, też wolicie być bez świadków.

– Ale my z mamą...

– No tak. Wy się przecież nigdy nie kłócicie – zakończyła domyślnie Buba i zostawiła ojca sam na sam ze scenariuszem.